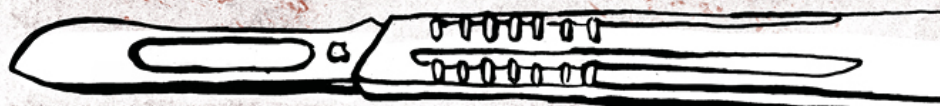


IZA KORSAJ MARVIN



IZA KORSAJ

MARVIN



[Kup książkę](#)

Tym, którzy nie boją się myśleć odważnie

[Kup książkę](#)

Najlepsi lekarze są przeznaczeni piekłu

Talmud

If this belief from Heaven be sent,

If such be Nature's holy plan,

Have I not reason to lament

What man has made of man?

W. Wordsworth

CCLXXII. „Written in Early Spring”



1

1983

Lubię czuć w dłoni ciężar skalpela. Chirurgia to precyzyjna i wyjątkowa profesja. Tylko ona jest w stanie zaspokoić mój zachłanny umysł. Ludzkie ciała zużywają się. Jak wszystkie maszyny - ulegają awariom. Wymagają pomocy zręcznego fachowca, takiego jak ja - Inżynier Naprawy.

Jako transplantolog cieszę się w środowisku renomą i zaufaniem. Moimi klientami bywają naprawdę grube ryby. Każdy, kto ma środki i liczy się z czasem, stawiając na jakość usług i dyskrecję, jest u mnie pożądanym pacjentem. Nie umawiam się na miłe pogawędki - prowadzę zza biurka twarde negocjacje. Dbam o bezpieczną, choć nie zawsze zgodną z prawem dostawę biologicznych części zamiennych. Stosowni ludzie osłaniają mnie, a ja w zamian chronię ich zdrowie i życie. Pieprzyć etos. Świat nie sprzyja dobrym ludziom.

Od lat dzień za dniem obserwuję, jak ludzie wegetują, są pozbawieni woli życia. Powielają własne błędy, skazując się na piekło wiecznych, bezrozumnych powtórzeń.

Niezaspokojony, żarłoczny umysł coraz częściej domaga się przesunięcia granicy - przejścia z wymiany narządów do naprawy umysłów.

Jest chłodne, listopadowe popołudnie. Czuć nadchodzącą zimę. Czerwone słońce, przyćmione szarymi chmurami, chowa się ospale za horyzont. Zza szyby chryslera obserwuję tętniący życiem Boston. To miasto wytwarzania, przetwarzania i nieustannej utylizacji. Tu nie można sprzedać się zbyt tanio.

Jadę na lotnisko odebrać syna, który przylatuje do mnie w odwiedziny z Denver. Kilka chwil później z uwagą przyglądam się podróżnym, opierając się o przeszkloną ścianę terminalu. Jako wprawny obserwator pamiętam o należnym dystansie i o kilku żelaznych zasadach. Przypatrywać się innym w milczeniu; reagować tylko w sytuacji zagrożenia; po zakończonym zwiadzie dyskretnie się oddalić. I nigdy nie rozmawiać z nikim o tym, czego było się świadkiem. Przytykam czoło do chłodnej szyby. Dostrzegam Danny'ego. Ośmiolatek maszeruje dziarsko w asyście stewardessy, w puchowej czerwonej kurtce i z niebieskim plecakiem przerzuconym przez ramię. Syn szybko zauważa mnie w tłumie i entuzjastycznie macha na powitanie. Uśmiecham się, unosząc kciuk.

Po wylegitymowaniu się przejmuję opiekę nad chłopcem.

Rozkładałam ręce i unoszę Danny'ego, a on wtula się we mnie. Czuję nerwowe bicie jego serca. Pachnący gumą do żucia oddech syna omiata mi twarz.

Głódzę go po sztywnych, świeżo przyciętych włosach. Stwierdzam, że robi się przystojny, jak ja. Oby odziedziczył po mnie także intelekt.

- Tęskniłem za tobą, tato. - Chłopiec patrzy na mnie z zachwytem. Ściska mi rękę tak mocno, że jej powierzchnia zaczyna się pocić.

- Ja za tobą też, Danny - odpowiadam, nie chcąc odbierać mu złudzeń, choć bardziej tęsknię za Naprawami Umysłu. Przez nadmiar pracy muszę odkładać tę przyjemność w czasie. Już same przygotowania do następnej terapii staną się żmudnym przedsięwzięciem. Pacjent nie może cierpieć na przewlekłą chorobę. Kolejna sprawa to infiltracja otoczenia. Im obiekt posiada mniej relacji z innymi ludźmi, tym lepiej. Jeżeli przegra życie, niewielu po nim zapłacze, nikt nie zada też niewygodnych pytań, mogących naprowadzić ciekawskich na mój trop.

Mój chrysler dołącza do niekończącego się sznura samochodów. Włączam radio. Chłodne dźwięki Two Minute Warning Depeche Mode współgrają z moimi myślami. Myślę o tępej suce Vivian, matce Danny'ego i mojej byłej żonie. Syn jest pamiątką felernego związku. Jeżeli będzie kiedyś wymagał mojej terapii, podejmę się jej bez wahania.

Chłopiec bawi się przypinką Kermita przyczepioną do bagażu. Euforia opadła i teraz peszy go rozmowa z ojcem. Świetnie. Nie mam ochoty wpraszać się do jego świata, wolę zanurzyć się we własny, przedestylowany ze skaz, uporządkowany i czysty, z Biblioteką Umysłu zawierającą dziesiątki półek wypełnionych woluminami z danymi o ludziach, z którymi się stykam: współpracownikach, pacjentach czy kochankach.

Rozciągam usta na myśl o wczorajszej nocy z Zoe Rosenberg. Z powodu odwiedzin Danny'ego nie znajdę teraz czasu

na kolejną schadzkę, wspomnienia ostatniej są jednak intensywne i świeże.

Cenię towarzystwo Zoe z wielu względów. Prócz intelektu i walorów fizycznych imponuje mi odporność tej trzydziesto-dwulatki na degradujące psychikę stany, jak zakochiwanie się oraz pokrewne mu uczucia.

Z zamyślenia wyrывa mnie wstrząs. Niespodziewanie uderzamy w coś na drodze. Uderzenie nie jest mocne, jednak zatrzymuję się, wiedziony ciekawością, czy wyrządziłem jakiemuś stworzeniu krzywdę.

Wyskakuję z auta, Danny wybiega za mną. Stoimy na poboczu leśnej drogi. Prawdopodobnie potrąciłem zająca albo szopa. Agonia nie jest wdzięcznym obrazem, ale nie oszczędzę synowi widoku trzewi rozwleczonych po asfalcie.

Obchodzę samochód dookoła. Rozglądam się za ofiarą.

Siła uderzenia odrzuciła zwierzę na skraj drogi. Leży nieruchomo na warstwie zgniłych liści. Widać, że jest przytomne. Nie krwawi, choć jego wnętrzności prawdopodobnie są zmiażdżone.

Przypatruję się Danny'emu. Na rozjaśnionej od światła twarzy chłopca nie dostrzegam oznak wstrętu.

Wyjmuję z bagażnika dwie pary czarnych rękawiczek. Wraz z workami na wymioty stanowią pozostałość po Naprawie Umysłu Obiektu Numer Jeden, którą przeprowadzałem przed rokiem.

- Nałóż je - mówię do syna.

Danny ochoczo wypełnia polecenie. Z fascynacją naciąga lateks na drobne dłonie. Kuca nad zwierzęciem bez strachu. Chce je zbadać. Stworzenie źle reaguje na dotyk. Z sykiem obnaża kły, ale jest za słabe, by ugryźć. Tylko końcówka ogona drga niespokojnie.

- Tato. - Danny szarpie mnie za rękaw. - Czy on umrze?

- Nie wiem - mówię prawdę. - Zobaczę, co da się zrobić. Wsiadaj do auta. - Owijam kocura wyjętym z bagażnika kocem. Wożę ze sobą zestaw ratunkowy najwyższej klasy, ale nie zamierzam go eksploatować dla sierściucha.

- Nie ściągam rękawiczek - pouczam syna. - Możesz się czymś zarazić. - Ja również nie zdejmuję swoich. Wścieklizna, nosówka, infekcje odkleszczowe. Kot może być biologiczną bombą, której nie jestem w stanie rozbroić. Zrobię z nim, co będzie konieczne, ale z pewnością nie na oczach Danny'ego. Powielanie błędów własnych rodziców jest zbrodnią.

Syn nerwowo przyciska do brzucha zawiniątko z kocurem, bezrasowym i niekastrowanym, o rudej sierści. Czuje się odpowiedzialny za zwierzę i za wszelką cenę pragnie je chronić. Zupełnie jak ja w jego wieku.

Kocur dostaje drgawek i wymiotuje Danny'emu na spodnie.

- Wytrzymaj, jeszcze trochę! - Chłopiec zaklina go. - Nie umieraj! Tato! - Patrzy na mnie z rozpaczą.

Staram się go uspokoić.

Parkujemy przed najbliższą dyżurną lecznicą. Pokażny neon z napisem „Lecznica weterynaryjna Amicus. Dr Darren S. Weston” barwi elewację budynku na zielono.

Wzdycham. Za chwilę i tak będzie po sprawie. Kocur jest w agonii. Weterynarz na miejscu zutylizuje ciało, wybawiając mnie od kłopotu.

Chłopiec, nie czekając na mnie, wbiega z ofiarą do lecznicy. Ciężkim krokiem wchodzi z nim do środka.

Przemierzam opustoszałą poczekalnię i otwieram znajdujące się na jej końcu drzwi do gabinetu. Jego wnętrze imponuje wyposażeniem. Jest chłodziarka na leki, aparat USG i rentgen, a także solidny stół, na którym Weston przeprowadza badania

podopiecznych. W głębi pomieszczenia zauważam masywne drzwi, za którymi pewnie znajduje się sala operacyjna.

Nieznacznie unoszę kąski ust. Moją uwagę przykuwa właśnie ten weterynarz, niejaki Darren Weston.

2

Zdejmuję rękawiczki i podaję mu dłoń. Mężczyzna wita mnie ze źle skrywaną niechęcią. Mój mózg niczym skaner rejestruje detale weterynarza. Na jego uniform składają się ciemnoniebieskie spodnie oraz obcisła koszulka, która przywiera do ciała jak druga skóra. Strój podkreśla wzrost i atletyczną sylwetkę Westona. Ciemne, nastroszone włosy dodają mu niesforności. Wiek określam na trzydzieści kilka lat.

Wyczuwam u niego nerwowość spowodowaną naszą wizytą. Facet, jak każdy, może mieć gorszy dzień, ale dalsza obserwacja nasila złe wrażenie. Darren Weston jest antypatyczny. Nie potrafi odegrać emocji, które wzbudziłyby ufność. To wada u praktyka medycyny, również specjalisty od zwierząt. W dodatku słabo panuje nad ciałem.

Dolna część owalnej, pokrytej gęstym zarostem twarzy zdaje się żyć własnym życiem, niezależnie od woli mężczyzny. Darren przygryza wargi, jakby obawiał się trwonić słowa. To zachowanie zmienia się, kiedy bada pacjenta. Rysy łagodnieją, a zuchwa zastyga. Weterynarz przeczesuje palcami sierść kocura w au-

tentycznej pieszczocie. Zwierzę mimo to próbuje go pokąsać i w stresie opróżnia jelita. Darren bez słowa czyści stół, po czym wraca do przerwanych zabiegów.

Danny kurczowo chwytą moją dłoń. Ściska ją, poruszony cierpieniem kota.

- Każdego czeka śmierć - mówię, nie odrywając od niego wzroku.

- Jeszcze nie teraz, proszę pana. - Weterynarz zabiera głos. Brzmi wyraźnie i czysto, oddycha przeponą, kiedy mówi. Musiał spędzić wiele godzin nad nauką tak perfekcyjnej artykulacji.

Darren zaciska palce na kciukach, gdy zwraca się do mnie, omawiając stan zwierzęcia. Gest pomaga mu w kontrolowaniu emocji, choć facet z pewnością wstydzi się tików. Jego wzrok nie spokojnie przeskakuje ze mnie na kocura i otaczające nas sprzęty. Zauważam, że w mojej obecności kompletnie ignoruje Danny'ego. Interesujące. Mój umysł wchodzi na wyższe obroty.

- Obrażenia nie są śmiertelne. Wystarczy dobra opieka i spokój - objaśnia. - Wykonam USG, aby zyskać pewność, że kot przeżyje. - Odwraca się do nas plecami. Słysząc warkot maszynki, kiedy goli brzuch zwierzęcia. Badanie trochę potrwa. Poobserwuję zatem Darrena w jego środowisku. Otoczenie pracy powie mi o tym człowieku więcej niż wyuczona gestykulacja czy strój.

Omiatam wzrokiem gabinet. Jasnozielone kafle na podłodze i ścianach przypominają mi te z Laboratorium Naprawy. Nad białym, półokrągłym biurkiem wisi skromny dyplom. Weston ukończył studia w wieku dwudziestu pięciu lat. Obecnie ma trzydzieści sześć. Specjalizuje się w chirurgii małych domowych zwierząt, takich jak koty i psy.

Na jego biurku piętrzy się stos dokumentów. Podchodzę bliżej, by zerknąć na ich treść. To notatki dotyczące różnych scho-

rzeń. Agresja zaborcza, syndrom wściekłości. Uboga socjalizacja. Atypowe neurodermatitis...

Odrywam oczy od niedbale skreślonych liter. Diagnostyka kocura wciąż trwa. Mój syn stoi dziarsko przy lekarzu. Obaj patrzą w monitor, na którym widać drobne trzewia zwierzaka.

Unoszę plik kartek i dyskretnie sprawdzam, co się pod nim kryje.

Osobisty terminarz Westona. Oprawiony w żółtą skórę kalendarz jest otwarty.

W umyśle zapalają się czerwone kontrolki, kiedy zerkam w notatki. Niesamowite. Facet nieopatrznie podaje mi na tacy swoje tajemnice. Ja trzymam własne w najbezpieczniejszym ze schronów - pod czaszką, w Bibliotece Umysłu.

Kataloguję w niej treść zapisków. Bez problemu odtworzę ją później w dogodnym momencie. Takich informacji nie da się łatwo zapomnieć.

Darren kończy oględziny pacjenta. Krótco nakreśla plan jego rekonwalescencji. Aprobuję wszystko, co mówi.

- Ma wysoką zawartość białka z soi, dobrze się trawi i redukuje alergię na pokarm. - Wskazuje na karmę w agresywnie czerwonym pudełku. - Dodatek pulpy z buraków wspiera zdrowie śluzówki jelita - wylicza zalety.

Unoszę brwi. Bawi mnie sposób, w jaki Darren popisuje się wiedzą.

Przy końcu wizyty wymieniamy się grzecznościami. Nawet Danny rozpogadza się, kiedy nadaję kotu imię - Szczęściarz. Dziś chyba wszyscy nimi jesteśmy, choć nie każdy z nas zdaje sobie z tego sprawę.

Weterynarz żegna nas wymuszonym uśmiechem. Odpowiadam mu miłszym grymasem. Spotkamy się za kilka dni. Do tego czasu uporam się z zebraniem podstawowych informacji o mężczyźnie. Rewelacje z kalendarza intrygują mnie na tyle,

że zaczynam rozmyślać o ich autorze jako o potencjalnym kandydacie do kolejnej Naprawy. Treść zapisków Darrena sugeruje, że facet może być zaangażowany w sprawy, o istnieniu których większość ludzi wolalaby nie wiedzieć.

Tej nocy bez żalu porzucam odpoczynek. Moje biologiczne potrzeby ustają. Zanika głód, pragnienie, potrzeba snu. Wypełniają mnie myśli, chłodne i ciemne, o poznanym dziś Westonie.

Leżę na łóżku wpatrzony w cień rzucany przez nocną lampę. Plama układa się w zarys ludzkiej miednicy lub trupiej główki - gatunku motyla.

Biblioteka Umysłu jest otwarta. Pieczołowicie odtwarzam z niej zawartość kalendarza mężczyzny z datami szóstego i siódmego listopada.

Strony były pokryte szkicami wykonanymi czarnym tuszem. Lewą wypełniał rysunek nagiego rozczłonkowanego ciała mężczyzny w średnim wieku. W miejscach cięć sterczały odłamki kości i coś, co uznałem za nitki ścięgien.

Na prawej widniał portret dekapitowanego osobnika. Jego lewe oko było zapadnięte w oczodole. Prawe, z gwiazdzistym pęknięciem na gałce, spoglądało wprost na patrzącego. W rozcięte wargi ofiary rysownik wtłoczył obfitą męskość.

To ekspresja gniewu i zacierzwienia autora, nie anatomiczna wprawka po godzinach. Weston rysował tak ostro, że w kilku miejscach rozdarł papier.

Przewracam się na brzuch, zbierając myśli. Pod rysunkami widniał krótki tekst. To właśnie jego treść przesądziła o założeniu Darrenowi woluminu w mojej Bibliotece. Ludzie skrywają sekrety, często wstrętne. Kłopoty zaczynają się, gdy te sekrety zawłaszczają osobowość i transformują ją na mroczną modłę.

Z Biblioteki wyrywa mnie krzyk Danny'ego. Wbiegam do salonu, gdzie śpi, i włączam oświetlenie. Pomieszczenie zalewa gorące światło halogenów.

Danny siedzi nienaturalnie wyprostowany na sofie i nieruchomo wpatruje się w białą ścianę przed sobą, jakby była ekranem w czasie rzeczywistym wyświetlającym jego sny.

Pobielające wargi chłopca silnie drżą.

- To tylko sen, Danny - uspokajam go. - Jesteś bezpieczny - dodaję. - Ze mną.

- Nie. - Danny patrzy na mnie pustym wzrokiem, nie mogąc wyrwać się z koszmaru. - Nie! - Trzęsie się i tuli poduszkę.

Jego oddech jest za szybki. Muszę pomóc mu go spowolnić. Siadam za plecami chłopca i splatam palce na jego przeponie.

- Oddychaj, Danny. Już dobrze. - Przyciskam twarz do policzka syna. Czuję zgrzytanie drobnych szczęk. - Oddychaj, jak ja. - Siedzimy spleceni, dopóki jego mięśnie nie zaczynają się rozluźniać.

- Potwór miał błyszczące niebieskie oczy... - Danny nie wypuszcza moich rąk z uścisku. - Patrzył na mnie i ciągle przeżuwał.

Zastanawia mnie, czy obaj myślimy o tym samym.

- Kiedy się boisz, przywołaj dobre myśli - radzę mu. - Jak Piotruś Pan wzniesiesz się ponad strach. Co jest twoją szczęśliwą myślą, Danny? - pytam.

- Ty, tato - odpowiada. - Tęsknię za tobą. - Chłopiec niespodziewanie smutnieje. - Przez cały czas.

Za swoimi wyobrażeniami o mnie, Danny - myślę, przeczesując mu zmierzwione włosy. Wyłącznie za nimi. Fasada relacji, którą utrzymuję z potomkiem, musi mu wystarczać.

Po odprawieniu syna na lotnisko zatrzymuję się przy jednej z budek telefonicznych rozrzuconych przy autostradzie. Wertuję

książkę adresową, wrywam z niej ostatnią, usmarowaną klejem kartkę i zapisuję na niej konkretne dane. Sprawdzam je na mapie i bez zwłoki ruszam w dalszą podróż.

Widok machającej do mnie dziwki, wbitej w ciasny kombinezon, przypomina mi o tekście z kalendarza Westona:

*Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,
Zaraz się razem miło zabawimy!*

Wyobrażam sobie weterynarza pieprzącego się z tym, z kim z pewnością robić tego nie powinien. Ja korzystam z okazji. Kto wie, czy w natłoku przygotowań do Naprawy znajdę jeszcze czas na te uciechy.

Zapraszam panienkę na tyły chryslera. Ma około dwudziestu lat, zdrowe zęby i - co najważniejsze - jest czysta, a jej ciało nie wygląda na zużyte.

Nie silę się na uprzejmość. Zakleszczam ją między sobą a drzwiami. Szarpnięciem odchylam kurwie głowę, ciągnąc ją za długie włosy. Zaskoczona, miota się i przeklina.

- Spokojnie - szepczę jej do ucha. - Jak masz na imię?

- Lachociąg - stęka.

- Ach tak! - Uderzam jej twarzą o szybę. Zostawiam na szkle kleks jej krwi, równie czerwony jak włosy dziwki.

Wśród żałosnego chlipania niedelikatnie zadowolam się jej ciałem. Uda kobiety wciąż drżą, kiedy wysuwam spomiędzy nich członek oblepiony gęstym śluzem. Ocieram go chusteczką. Drugą podaję dziewczynie.

- Jeszcze z tobą nie skończyłem - mówię cicho. - Płacę i wymagam. Bądź grzeczna.

Po kwadransie wypuszczam ją z samochodu. Dziewczyna, chwiejąc się, wbiega między pobliskie drzewa. Upada dwa razy, nim niknie mi z oczu.

Ścieram wilgoć ze skórzanej kanapy, wciąż rozmyślając o Darrenie.

*Szarpie się z płaczem ludzka dzidzia mała,
Bo w łapy sprytnego Zwierzęcia się dostała!
Jesteś daleko od domu i swojej rodziny,
Zaraz się razem miło zabawimy!
Bądź bardzo grzeczna, nie próbuj uciekać,
Bo Zwierzę się wścieknie, wtedy krzywda cię czeka!*

Tak właśnie brzmiał początek tekstu Westona. Całkiem możliwe, że skurwiel krzywdzi dzieciaki. To dlatego w lecznicy ignorował Danny'ego. Bał się własnych odruchów. Naprawa takiej bestii byłaby trudna. Tresura nie wchodzi w grę. Tresura jest poddaniem się, nie zmianą. A mi zależy wyłącznie na Naprawie.

Wracam do siebie okrężną trasą, mijając przy tym uznaną restaurację Biały Chart, w której często jadam kolację z Zoe. Pięćdziesięcioletni szef kuchni, Rick Bowman, wie, jak zadowolić kubki smakowe. Sam jednak posiada czerwony wolumin w mojej Bibliotece. Tym kolorem oznaczam tomy dotyczące osób, które kwalifikują się do Naprawy.

Po każdym posiłku proszę go na pogawędkę dotyczącą kulinariów. Obserwuję wtedy Ricka dla sprawdzenia, czy robi coś w kierunku zneutralizowania swojego defektu.

Z miesiąca na miesiąc z mężczyzną jest gorzej. Cierpi psychicznie i fizycznie, ale nie walczy z rujnąjącą go przypadłością.

Zbyt kocha to, co go niszczy. Jego Naprawa byłaby dość prosta, ale obecnie mój priorytet to Darren.

Docieram pod jego lecznicę. Nie wysiadam jednak z samochodu. Obserwuję mijające mnie wozy oraz nieliczne auta zaparkowane przy budynku. Przypatruję się też logo Amicusa.

W ciemnozielonym krzyżu widnieją białe zarysy sylwetek psa, kota i papugi. Kot pręży ogon, a papuga zawisa nad jego grzbietem. Zwierzęta to pełne hartu osobniki, zaś kuracja u Westona ma obiecywać właścicielom ich powrót do utraconej witalności.

Uśmiecham się, patrząc na kopułę śniegowych chmur zalegających nad miastem. Rok temu intensywnie polowałem na obiekt, który przeznaczyłem do terapii. Tym razem nie wyruszę na łowy. Ofiara sama wpadnie w zasadzkę, którą dla niej przygotuję.

3

Kolejne tygodnie mijają szybko. Mój wewnętrzny zegar, odliczający czas do Naprawy, przyspiesza. W rozjazdach między kliniką, domem i miejscami, w których zdobywam informacje o pacjencie, planuję scenariusze dotyczące jego kuracji: precyzyjne, dotyczące chorego aż do skażonego rdzenia jego istnienia.

Wciąż regularnie spotykam się z Zoe. Pieprzymy się w hotelach. Wolę, by nie wiedziała, że posiadam w domu kocura, którego trzymam w klatce o gabarytach dla gryzoni.

Wykorzystam przeciw Darrenowi jego słabość, którą jest miłość. Bezwarunkowa miłość do zwierząt.

Posiadam już konkretne informacje o obiekcie. Po numerze zawodowej licencji Westona docieram do jego dokumentów, tych szkolnych i reszty oficjalnego życiorysu.

Matka, Sue, zmarła przy porodzie. Ojciec, Simon, pracował jako aptekarz. Mieszkał z jedyńskim na peryferiach Cleveland. Darren Sean Weston był zdolnym uczniem.

Nic nadzwyczajnego. Fakty, które można dopasować do setek, jeśli nie tysięcy dzieciaków.

Ciekawie zaczyna robić się później. Okres między trzynastym rokiem życia a pełnoletnością Westona jest luką w jego biogramie. Nazwisko Darrena pojawia się dopiero w wykazie studentów weterynarii - daleko od domu, na Florydzie.

Co działo się z nim w tym czasie? Gdzie przebywał, co robił? Czy spotkało go coś, przez co przyjął taką, a nie inną tożsamość? To dane, które muszę prędko zdobyć i robię to, jak zwykle, niejawnie.

Mieszkanie, w którym żyje Weston, najmuje od dwóch lat. Tyle samo czasu prowadzi tu własną lecznicę. Ludzie twierdzą, że mieszka sam, choć często słyszą wrzaski i niedające się zidentyfikować hałasy dochodzące spod lokalu numer trzy. Kilka razy interweniuje policja, ale nikt nie zostaje zatrzymany.

Sąsiedzi nie znają bliżej Westona. Facet wychodzi do pracy o świcie i wraca z niej niemal nocą. Często przez kilka dni jego mieszkanie stoi puste. Zwierzę najwyraźniej poluje...

Siedzę w poczekalni Amicusa obwieszanej planszami ze szkicami psiej i kociej anatomii. Mój kocur obija się o transporter, który trzymam na kolanach.

- Nie jest wściekły - mówię do wydekoltowanej paniusi, która czeka ze swoim pudlem na wizytę. - Po prostu czuje ból.

- Rozumiem - kobieta wzdycha. - Przyjechałam uspić Lizzy.

- Tak bywa. - Ucinam dialog, gdy do lecznicy wpadają dwaj zakrwawieni osobnicy. Taszczą w kocu cielsko sporego psa.

Rośleszszy z nich wściekle kopie w drzwi.

- Weston, otwieraj! To ja, Trier! Skurwysyny pogryzły Ajaxa!
- wrzeszczy.

Natychmiast otwieram Bibliotekę. Każda informacja o weterynarzu jest cenna, szczególnie ta podszyta emocjami.

- Weston, do kurwy nędzy! - Mężczyzna w rozchełstany garniturze napiera jak taran na drzwi. Pod jego marynarką do-

strzegam szelki kabury. Drugi pochyła się nad amstaffem ułożonym na posadzce. Zwierzę silnie broczy z rany w prawym boku, prawdopodobnie zadanej szczękami innego psa.

Darren wreszcie otwiera. Nie wydaje się zaskoczony ich agresją.

Natręci znikają w gabinecie. Poprzedni klient zostaje nieelegancko wyproszony. Słyszę przekleństwa, piski i warczenie. Kobieta w popłochu opuszcza lecznicę. Ja zamierzam zostać.

Pierwszy z mężczyzn po chwili opuszcza gabinet. Rozwścieczony, trzyma się za zabandażowaną dłoń. Wychodzi z lecznicy, trzaskając drzwiami. Drugi, Trier, zalega w poczekalni.

Postawny, około czterdziestoletni szatyn prostuje nogi i w zmęczeniu pochyła na piersi głowę obstrzyżoną do skóry. Jego popielaty garnitur, prócz krwi - najpewniej pochodzącej od amstaffa - jest upaprany świeżym błotem. Dłonie mężczyzny, pokryte wypukłymi fioletowymi bliznami oraz licznymi tatuażami, drżą. Każdy palec Triera jest ozdobiony rysunkiem. Na prawej dłoni widnieje napis „Cerber”. Na przeciwnej sylwetka trzygłowej bestii.

Przymykam powieki. Zastanawiająca myśl rozbłyskuje mi w głowie, ale natychmiast przygasa.

Kocur usnął, wycieńczony szaleń. Siedzę z przymusowym kompanem w ciszy.

Trier odchyła głowę i opiera ją o ścianę. Przymyka powieki. Kątem oka zerkam na jego profil. Zarośnięty policzek przecina szeroka różowa szrama, która ciągnie się aż po szyję mężczyzny. Ją również pokrywają tatuaże, o kształcie cyfr. Porzucona przed chwilą myśl powraca.

Osobnik czuje na sobie mój wzrok. Powoli odwraca głowę. Marszczy brwi, ale nie z powodu rozdrażnienia. Jest równie zaskoczony jak ja.

- Co za spotkanie - mówię kpiąco. - Minęło chyba z pięć lat.

Trier spogląda na dłonie. Bezskutecznie usiłuje powstrzymać ich drżenie.

- Trzy - uściśła. - Już nie działam w tej branży... - Milknie, kiedy Weston otwiera drzwi.

Weterynarz spogląda na Trierę, potem na mnie i na transporter z kocurem. Nie słyszał naszej rozmowy.

- Zrobiłem, co mogłem, Davidzie. - Zdejmuje zabrudzone rękawiczki. - Zapraszam.

Trier znika w gabinecie, z widoczną ulgą, że nie musi dłużej siedzieć obok mnie.

David Trier. Tak, to on. Jestem tego pewien. Mam pamięć do nazwisk i rysopisów, szczególnie Pacjentów Specjalnych, którzy poprawnie przeszli test z miłości i poświęcenia.

Muszę jak najszybciej dowiedzieć się, co łączy Trierę z Westonem. Bagno, w którym tapla się weterynarz może być głębsze, niż pierwotnie przypuszczałem.

Po kwadransie Darren zaprasza mnie na wizytę. Bada kocura, ale nie ma dobrych wieści. Zwierzak leży otępiąły na stole. Nie ma siły walczyć; możliwe, że czeka na śmierć.

- Co się dzieje, proszę pana? - Weston zaciska palce na kciukach. Każdy z nich porasta ciemna kępka włosów.

- Nie mam pojęcia. - Rozkładał ręce.

- Dziwne. Miał robiony posiew, morfologię. Parametry medyczne są w normie. - Uważnie wertuje kartotekę pacjenta. - Długo przebywa pan poza domem w ciągu dnia?

- Pracuję, osiem, dziewięć godzin, jak większość ludzi. - Nie zdradzam o sobie niczego więcej.

- Może to lęk separacyjny? - zastanawia się. - Wie pan, tęsknota za opiekunem. - Nieprzyjemnie oblizuje usta. - Zaobserwował pan jakieś objawy?

- Całkiem sporo - odpowiadam. - Wylizuje się po bokach. Atakuje własny ogon. Zaalutwia się pod siebie. Wymiotuje - wylizuję, zgodnie z prawdą.

- To zachowania obsesyjno-kompulsywne. - Darren pewnie stawia diagnozę. - Zalecam leki psychotropowe. Zwierzętom też się je podaje, wystarczy dodawać do karmy. Zaraz je przyniosę. - Podchodzi do chłodziarki na leki.

- Dobrze, poczekam. - Rozglądam się po gabinecie.

Tym razem na biurku weterynarz ma porządek.

- Proszę. Dawkowanie. - Podaje mi pojemnik wraz z kartką wypełnioną znanym pismem. - Po kilku dniach kocur powinien mieć się lepiej. - Patrzy na mnie, zaciskając szczękę. - Proszę przyjść za trzy tygodnie do kontroli. Będzie dobrze.

- Na to liczę. - Kiwam głową. Rozstajemy się, nie podając sobie rąk.

Na parkingu przed lecznicą zastaję Triera mocującego się z przymarzniętymi drzwiami samochodu. Fakt, jest zimno. Powietrze aż kłuje w nieosłonięte części twarzy.

Jego pies leży nieruchomo obok auta. Gwałtowne wychłodzenie po narkozie i operacji może zabić zwierzę. Kalkuluję, czy warto pomóc Davidowi. Zna się z Darrenem, więc pewnie posiada informacje, które mogą mi się przydać.

Odstawiam transporter do bagażnika. Wyjmuję z torby strzykawkę, igłę oraz koc.

- Pomóc ci? - wołam do Triera.

David prostuje się i czujnie unosi głowę. Stoję daleko, więc nie od razu rozpoznaje mnie w mroku. Parking jest kiepsko oświetlony, zaledwie jedną latarnią.

Nerwowo szarpie klamkę.

- Kurestwo! - Uderza pięścią o drzwi.

Nie możesz się denerwować, Davidzie. Twoje serce źle reaguje na stres. Nie przeżyłbyś kolejnej operacji. A ja nie lubię, kiedy pacjenci umierają na stole – chyba że ich ciała są przeznaczone na biologiczne części zamienne.

- Otul nim psa. - Podchodzę do mężczyzny i podaję mu koc.
- Ja otworzę auto.

Zaciągam strzykawką płyn hamulcowy ze zbiornika. Wsuwam igłę do zamka i wstrzykuję w szparę płyn. Olej hydrauliczny nie zamarza i ma właściwości smarne. Jego składniki rozpuszczają kryształki lodu.

- Gotowe. - Otwieram wóz.

Układamy amstaffa na kanapie. Ma szaro-brązową sierść i niebieskie oczy. David tłumaczy, że takie umaszczenie w hodowli rejestruje się jako błękitne.

- Jak twoje serce? - pytam, kierując uwagę Triera na siebie.

- Wciąż bije - odpowiada z niechęcią, krzywiąc się na wspomnienie operacji sprzed trzech lat. - Mogę? - Wyjmuje skręta.
- Pomaga mi. - Zaciąga się.

Jego ręce drgają z przyczyn neurologicznych, nie z nerwów. Najemnik, a zwłaszcza snajper musi perfekcyjnie panować nad ciałem. Ten fach u Triera jest przeszłością. Pokonała go choroba Parkinsona.

Dopytuję Davida o wypadek Ajaxa. Tylko tak mogę przejść do sedna rozmowy o Westonie.

Okazuje się, że mój były pacjent prowadzi hodowlę bojowych psów, poza tym urządza ich walki. Weston opiekuje się zwierzętami Triera.

No proszę. Robi się coraz ciekawiej. Prędko analizuję dane, jakie już posiadam o Westonie.

Cleveland. To tam ukrywa się kluczowa dla mnie informacja o mężczyźnie. Muszę zatem powrócić do źródeł.

- Cieszę się, że serce nadal ci służy. - Elegancko kończę rozmowę.

David rzuca niedopałek na ziemię i rozgniatą go butem.

- Pozdrów ode mnie żonę - dopowiadam. Trier zaciska pięść, ale natychmiast ją rozluźnia.

Mózgowi niewiele potrzeba do wytworzenia w sobie obrazu wroga. Czas krótszy od mrugnięcia okiem wystarcza, aby dobrze ukierunkowany bodziec zwiększył aktywność w ciele migdałowatym - części mózgu odpowiedzialnej za strach. Niektórzy latami szkolą się na zabójców. Inni się nimi rodzą. Trier z pewnością nie jest bestią - nie taką, jaką w mojej ocenie mógłby się stać. Kiedy odjeżdża, patrzę za nim z grymasem, którego ten - na szczęście - już nie widzi.

Zanurzony we wrzącej kąpieli, popijam wodę z lodem z kostkarki. Skanuję pamięcią adresy znajomych z własnej branży. Jak zawsze znajduję dane, których szukam. Telefon wykonuję właśnie do Cleveland - do Barry'ego Wolfe'a, psychiatry. Od miesięcy jestem mu winien przysługę. Teraz mam okazję się wywiązać. Przy okazji przeprowadzę małe śledztwo. Liczę, że Barry zgodzi się na współpracę w tym zakresie.

Spędzam w Cleveland trzy dni. Ostatniego wygłaszam prelekcję na temat chirurgicznego leczenia zaburzeń psychiatrycznych. Improvizuję, ale wykład okazuje się sukcesem. Nie zaprzętałem sobie tym głowy. Najważniejsze, że Wolfe zgadza się mi pomóc.

Psychiatra zasypuje mnie aktami pacjentów z zaburzeniami zbliżonymi do tych, które wstępnie zdiagnozowałem u Westona. Czytam je z uwagą. Wszystkie poszerzają moją wiedzę i pomagają solidnie przygotować się do pracy nad umysłem Darrena.

Docieram do jego pełnej medycznej dokumentacji. Dołączono do nich kopię artykułu z lokalnej gazety. Zatytułowany Tragedia w rodzinie aptekarza, odkrywa nowe, skandaliczne fakty na temat historii życia Darrena.

Dogłębnie zapoznaję się z jego najwstydlivszym sekretem. Możliwe, że Towarzystwo Weterynaryjne odebrałoby mu licencję, gdyby tajemnica wyszła na jaw. Teraz nie dziwi mnie, że co kilka lat zmienia miejsce pracy i zamieszkania. Obecnie żyje w Massachusetts. Kto wie, może za rok, dwa sprzeda lecznicę i wyjedzie na Alaskę?

Muszę go czym prędzej poddać terapii. Jestem tego pewny. Nie bez przyczyny Weston spędził lata młodości w miejscu, w którym ludzie przestają być ludźmi, zmieniając się w przedstawicieli znacznie niższych gatunków.

4

Czarna terenówka powoli toczy się po wąskiej drodze prowadzącej z Laboratorium Naprawy. Troskliwie przygotowałem je na wizytę kolejnego obiektu. Przypuszczam, że będzie kłopotliwszy od pierwszego. Zainstalowałem nowoczesny sprzęt monitorujący pomieszczenie. Wymieniłem materac, sprawdziłem wytrzymałość pasów łóżka. Wokół mebla zamontowałem stelaż z nierdzewnej stali. Zakupiłem kroplówki, cewniki i preparaty do żywienia pozajelitowego, a także skalpele, nożyce i chirurgiczną wiertarkę. Podstawowy asortyment medyczny miałem w komplecie. Ten profesjonalny nabyłem na czarnym rynku. Zrobiłem też zapasy spożywcze, choć wyłącznie dla siebie. Podczas terapii pacjent będzie żywiony pozaustrojowo.

Biorę prysznic na stacji benzynowej. Zmywam z siebie mdłą woń medycznej chemii i intensywną żywicość lasów otaczających kryjówkę. Zoe nie może wyczuć, skąd przyjeżdżam.

Nakładam czarną koszulę i wełniany garnitur w jodełkę w identycznym kolorze. Preferuję stonowany ubiór i ciemne barwy. Jestem zobowiązany wyglądać na lidera.

Lubię swoje ciało. Mam ciemnobrązowe oczy ze złotymi refleksami, które - jak zaklinała była żona - w skąym świetle błyszczą na czerwono; prosty nos i mocno zarysowany podbródek; brunatne, sztywne włosy i nieprzeciętnie bladą cerę. Te cechy dodają mi uroku, którego nie ujmuje niewielki wzrost - zaledwie sto siedemdziesiąt trzy centymetry. Mam powodzenie u kobiet, niemniej to mózg, a nie penis, jest moim ulubionym narządem w organizmie.

Kolacja z Zoe wypełnia czas pozostały do godziny zero, w której przejmę totalną kontrolę nad życiem pacjenta. Tradycyjnie zajmujemy w Białym Charcie dwuosobowy stolik przy ścianie ozdobionej plakatem mężczyzny ze strzelbą i głową myśliwskiego psa doczepioną w miejsce ludzkiej. Dochodzą mnie strzępki rozmów gości, szeleszczące jak papier, i porwane nuty jazzu, dobywające się z głośników przy barze. Bez zbędnych słów składamy zamówienia. Wybieram duszoną jagnięcinę z kaszą. Zoe zadowala się łososiem.

Patrząc, jak z wdziękiem nakłada na widelec porcję pieczonej ryby. Kochanka jest ubrana w skórzany żakiet i szarą ołówkową spódnicę. Na nogach ma gustowne pantofle. Obserwuję jej pełne wargi. Oczekiwanie na Naprawę niesłychanie wzmaga libido.

Pieprzymy się w męskiej toalecie. Biorę Zoe od tyłu. Wchodzę w nią, kiedy jest jeszcze ciasna, ale nie stawia oporu. Przygważdżam ją do ściany i wypełniam sobą. Cienkie ścianki kabiny aż wibrują od krótkich, wściekłych pchnięć. Zoe stęka, nie udając rozkoszy. Odwraca się, oplata udem moje biodra i zaczyna szalony taniec pochwy wokół członka, jednocześnie wypychając mi język do ust. Pod bluzką ściskam jej pełne piersi. Kochanka krzyczy, gdy szczytuje. Ja robię to w ciszy, choć orgazm czuję aż u podstawy czaszki.

Zoe doskonale zna swoją rolę i to właśnie w niej cenię. Wie, że zawsze może ode mnie odejść. Zostaje, bo ją fascynuję jako kochanek i transplantolog, który nosi na tej ziemi znamiona pieprzonego Boga. Zoe ma szczęście, że tak naprawdę wcale mnie nie zna.

Kiedy wychodzimy z kabiny, wciąż wygląda ubiór. Facet przy pisuarze na nasz widok otwiera usta do soczystej uwagi, ale mój wzrok knebluje go i zostawia zastygłego z przyrodzeniem zwiśającym z dłoni.

Wracamy na salę dokończyć posiłek. Kelner poleca sorbet cytrynowy. Na koniec tradycyjnie chcę podziękować Bowmanowi za ucztę. Niestety, szef kuchni przebywa na zwolnieniu. Zabija go własny defekt.

Płacę rachunek i zamawiam dla kochanki taksówkę. Po jej odjeździe sam ulatniam się z restauracji. Opuszczam gwarne centrum Bostonu i wjeżdżam w senność miejskich peryferii.

Za moment upadnie fikcyjny bastion z resztek sumienia. Za chwilę zniknie wszelkie tabu. Po miesiącach tęsknot za terapią i tygodniach intensywnych przygotowań do niej kolejny obiekt wpadnie w sidła Inżyniera Naprawy.

Nim opuszczę samochód, znów przebieram się, stosownie do okazji. Ubiór, prócz wygody, ma spełniać szereg dodatkowych wymagań. Tylko idiota zdaje się na los. Jakoś to będzie, oszukuje samego siebie. Racja, zawsze jest „jakoś”. Mądry dba, aby to „jakoś” działało się według scenariusza.

Na osiedlu, gdzie mieszka pacjent, panuje nocny zastój, mimo to kilkakrotnie upewniam się, czy ani jeden spacerowicz z psem, diler albo stojąca na rogu kurewka nie spostrzeżę, jak wnikam do budynku. Na szczęście to jedna z cichszych dzielnic tego miasta lunatyków.

Budynek jest niepozorną trzypiętrową kamienicą, przytuloną z obu stron do smukłych sosen. Do wejścia prowadzą cztery wyszczerbione schody. Wchodzę niezauważony do środka. Grube podeszwy myśliwskich butów skutecznie tłumią odgłos kroków.

Parter zajmują trzy pary czarnych drzwi oznaczonych białymi numerami. Na piętro prowadzą kręcone, wysokie stopnie. Dookoła czuć wilgoć bijącą od ścian i słyszać wstrętne brzęczenie świetlówek.

Czarne, sporej wielkości pudło, jakie przyniosłem ze sobą, zaczyna drgać. Potrzęsam nim kilkukrotnie. Sensacje natychmiast ustają.

Pukam do drzwi z numerem trzy. Weston od razu otwiera.

Ma zaczerwienioną twarz, spuchnięte powieki i silnie przekrwione oczy. Roztacza woń mocnego alkoholu, prawdopodobnie koniaku albo whisky. Patrzy na mnie, mrużąc powieki. Próbuje skojarzyć, skąd mnie zna. W lecznicy miałem nienagannie skrojony płaszcz i drogie skórzane buty. Tej nocy wyglądam inaczej. Noszę wąskie, naszpikowane kieszeniami spodnie i kurtkę ze stojką, spod której wystaje chroniący szyję golf. Włosy są ukryte pod czapką, na dłoniach mam rękawiczki. Od stóp do głów spowija mnie czerń.

Wpatruję się w Darrena niezdradzającym intencji wzrokiem.

- Szczęściarz - informuję zwięźle. - Musi mu pan pomóc.

Weston przytyka dłoń do czoła. Nie w smak mu naruszenie prywatności, przez kogokolwiek, a już na pewno przeze mnie.

- Chyba umiera - dopowiadam. Robię krok do przodu, aby zmniejszyć między nami dystans. - Jest pan weterynarzem - naciskam. Myślę o obowiązku ratowania życia, jakiemu podlega także Darren.

Odwołanie do etosu profesji pomaga. Wpuszcza mnie.

Teatralnym gestem stawiam pudło na masywnym stole w dusznym, zaciemnionym pomieszczeniu, tonącym w gęstych oparach przetrawionego alkoholu. Brzegi mebla są ponacinane równie mocno jak blat. Głędzę je z myślami o furii, z jaką Darren rysował swoje szkice.

- No dobrze. Proszę pokazać kota. - Weterynarz, ubrany w dresowe spodnie i rozciągniętą koszulkę bez rękawów, ciężko opiera się o stół. Jest przeraźliwie owłosiony, wszędzie, nawet na palcach u bosych stóp. Gdy mówi, podkurcza je. Mimo rauszu i psychicznego dyskomfortu autentycznie chce pomóc zwierzakowi.

- Może to jakiś guz? - zagaduję.

- Ca-ałkiem mo-ożliwe. - Darren przeciąga sylaby. Skupia się, by precyzyjnie wyrażać myśli. - Wy-yjmie go pa-an?

Uwalniam kocura z uwięzienia. Zwierzak zawodzi i wije się żałośnie w moim uścisku, jakby przeczuwał czekający go los.

Cichy trzask skręcanego karku kończy rolę Szczęściarza przypisaną zwierzęciu w moim planie. Wrzucam truchło do pojemnika, spokojnie czekając na reakcję Westona.

Odliczam zastygłe sekundy dzielące nas od konfrontacji. Ze zgniłozielonych ścian salonu przyglądają nam się jelenie, sarny i srebrna para wilków, jakby w zdziwieniu, że właśnie odebrałem życie ich zwierzęcemu współplemieńcowi.

Szok odbiera Darrenowi głos. Jest wściekły i zdruzgotany jednocześnie. Oddycha chrapliwie jak ranna, błagająca, aby ją dobić sarna.

Wyjmuję z kurtki niewielki pojemnik. Rozpylam wąski strumień w spurpurowiałą twarz Westona. Podaję anestetyk. Wolę nie ryzykować usypiania w zastrzyku. Facet wygląda na silnego, poza tym jest, w przeciwieństwie do mnie, wysoki. Zyskałby przewagę i w ferworze walki moglibyśmy się poranić. Choler-

nie nie chciałbym, aby obiekt nabawił się zbędnych uszkodzeń na ciele. Musi być zdrowy i silny, inaczej nie przetrzyma terapii.

Darren zatacza się, ostro kaszle i trze oczy. Próbuje przytrzymać się stołu, ale mięśnie odmawiają współpracy. Jego rozbiegany wzrok płąsa po meblach, ścianach i suficie. Alkohol wzmacnia działanie leku.

Weterynarz opada na czworaki i dostaje ataku drgawek. Z ust wychodzą mu bąble gęstej śliny. Gdyby zaprzestał walki z ciałem, cierpiałby mniej. Do samego końca nie zamierzam go informować o pochodzeniu rozpylonej substancji. Niech traci świadomość z myślami o bólu i własnej śmierci. Nie zasługuje nawet na pozory litości.

Darren mdleje. Kucam nad nim, przekręcam na bok jego głowę, odchylam szczękę i przytrzymuję język, aby się nim nie zadławił. Sprawdzam puls. Jest stabilny.

Spoglądam na swoją czarną Omegę. Na razie czas jest moim sprzymierzeńcem. Muszę zadbać, aby nie stał się wrogiem.

Rozpaczynam inspekcję kryjówki Darrena. W pomalowanej na bordowo, przypominającej wnętrze macicy ciasnej sypialni z wąskim oknem stoi szafka, krzesło i drewniane łóżko. Materac jest wygnieciony. Pościel - zmięta. Na prześcieradle nie znajduję żadnych śladów, choć wyobrażam sobie na nim plamy z nasienia gospodarza.

Pobieżnie przeglądam jego filmotekę. Posiada sporą kolekcję pornografii. Zaciekawiony, przesuwam palcami po rzędach kaset w białych pudełkach z odręcznie wypisanymi tytułami. Rzucam okiem na zawartość materiałów zatytułowanych Ostre żądze. Filmy to nagrania snuff - pozorowane tortury zwieńczone prawdopodobną śmiercią ofiary. Nie spodziewałem się lekkich

erotyków. Darren wykształcił w sobie miłość do podziwiania przemocy bardziej niż do rzeczy, które uchodzą za dobre.

Z uśmiechem myślę o własnych upodobaniach. Wolę doświadczać niż oglądać.

Kalendarz Westona leży pod stołem na stercie czytanych egzemplarzy „Nature”. Z uwagą wertuję kartki. Odkrywam na nich kolejne szkice tej samej nagiej męskiej postaci. Na niektórych została przedstawiona z czaszką należącą do jakiegoś gatunku drapieżnej małpy, o przepastnych oczodołach i długich zakrzywionych kłach. Identyczna czaszka wisi nad wejściem do salonu. Jest podświetlona białymi żarówkami. Mogę z wielkim prawdopodobieństwem stwierdzić, że już wiem, kogo przedstawia ten animalistyczny bożek.

Fotografuję polaroidem kilka stron kalendarza. Zdjęcia wykorzystam jako pomoce dydaktyczne przy Naprawie.

Spoglądam na nieprzytomnego weterynarza. Czas się nim troskliwie zająć.

Przebieram go w szerokie spodnie z nakładkami i kurtkę o wojskowym kroju w maskującym kolorze khaki. Komplet znajduję, złożony w kostkę, obok nabitej strzelby w szafie w salonie. Pewnie to strój roboczy, jaki nosi na psiej farmie u Trier.

Zabieram do wozu pudło z kocurem, portfel i dokumenty Westona. Truchło upycham do jednego ze schowków w aucie. Pozbędę się ciała w azylu.

Czas wynieść najcenniejszy ładunek spod trójki. Przekładam rękę Darrena wokół swojej szyi i chwytam ją za nadgarstek. Drugą ujmuję weterynarza za pasek. Nie bez wysiłku wtaszczam go na miejsce pasażera w terenówce, zaparkowanej tuż pod wejściem do kamienicy. Nikt nie zaczepia nas po drodze. Nie muszę

więc tłumaczyć się, że wiozę zachlanego kumpla na ostry dyżur do szpitala.

Przypinam go ciasno do fotela. Sprawdzam odruchy i reakcję źrenic na światło. Po dotarciu na miejsce zaaplikuję Westonowi kroplówkę niwelującą skutki narkozy i zatrucia trunkami.

Dochodzi piąta nad ranem. Najciemniejsza godzina przed pobudką brudnego, zimowego świata. To wtedy organizm, wyczerpany brakiem snu, często poddaje się zmęczeniu. Połykam pigułki wyjęte ze skrytki. Wysoka zawartość kofeiny wspomogę koncentrację na kilka godzin. Potem czeka mnie krótka odpocznik. Pacjent i tak nie przebudzi się samoistnie przed wieczorem.

W czasie podróży słucham audycji radiowych, głównie z muzyką klasyczną i jazzem. Patrząc na uśpiony obiekt, odczuwam coś na kształt zadowolenia. Dobrego nastroju nie zakłóca nawet fakt, że zwieracze Westona tracą szczelność i będę musiał czyścić tapicerkę. W Laboratorium zadbam o takie drobiazgi, jak kontrola nad wydalaniem pacjenta i przymusowe odżywianie go. Jedyne rzeczy, o które Darren będzie się martwił, to własne wybory i ich konsekwencje.

Czas bowiem nigdy nie leczy ran. On je tylko zabliźnia.

Marvin
Copyright © Iza Korsaj
Copyright © Wydawnictwo Inanna
Copyright © MORGANA Katarzyna Wolszczak
Copyright © for the cover art by Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Wszelkie prawa zastrzeżone. All rights reserved.

Wydanie pierwsze Bydgoszcz 2018 r.

druk ISBN 978-83-7995-048-5
epub ISBN 978-83-7995-049-2
mobi ISBN 978-83-7995-050-8

Redaktor prowadzący: Marcin A. Dobkowski
Redakcja: Małgorzata Maksymowicz
Korekta: Aleksandra Sitkiewicz
Projekt okładki i adiustacja autorska wydania: Marcin A. Dobkowski
Ilustracja na okładce: Bernadeta Leśniowska-Gustyn
Skład wersji elektronicznej: proAutor.pl

Książka ani żadna jej część nie może być przedrukowywana ani w jakikolwiek inny sposób reprodukowana czy powielana mechanicznie, fotooptycznie, zapisywana elektronicznie lub magnetycznie, ani odczytywana w środkach publicznego przekazu bez pisemnej zgody wydawcy.

MORGANA Katarzyna Wolszczak
ul. Kormoranów 126/31
85-432 Bydgoszcz
sekretariat@inanna.pl
www.inanna.pl

Książka najtaniej dostępna w księgarniach
www.MadBooks.pl
www.eBook.MadBooks.pl